



[r u m o t k a]



MONIKA RUTKA



beyA.



*Wyglądaj jako kwiat niewinny,
ale niech pod tym kwiatem ukrywa się wąż*



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja i korekta: Anna Skóra

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Cytat z okładki: Shakespeare, *Makbet*, tłum. Józef Paszkowski, 1908.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/thewav>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-8322-307-0

Copyright © Monika Rutka 2023

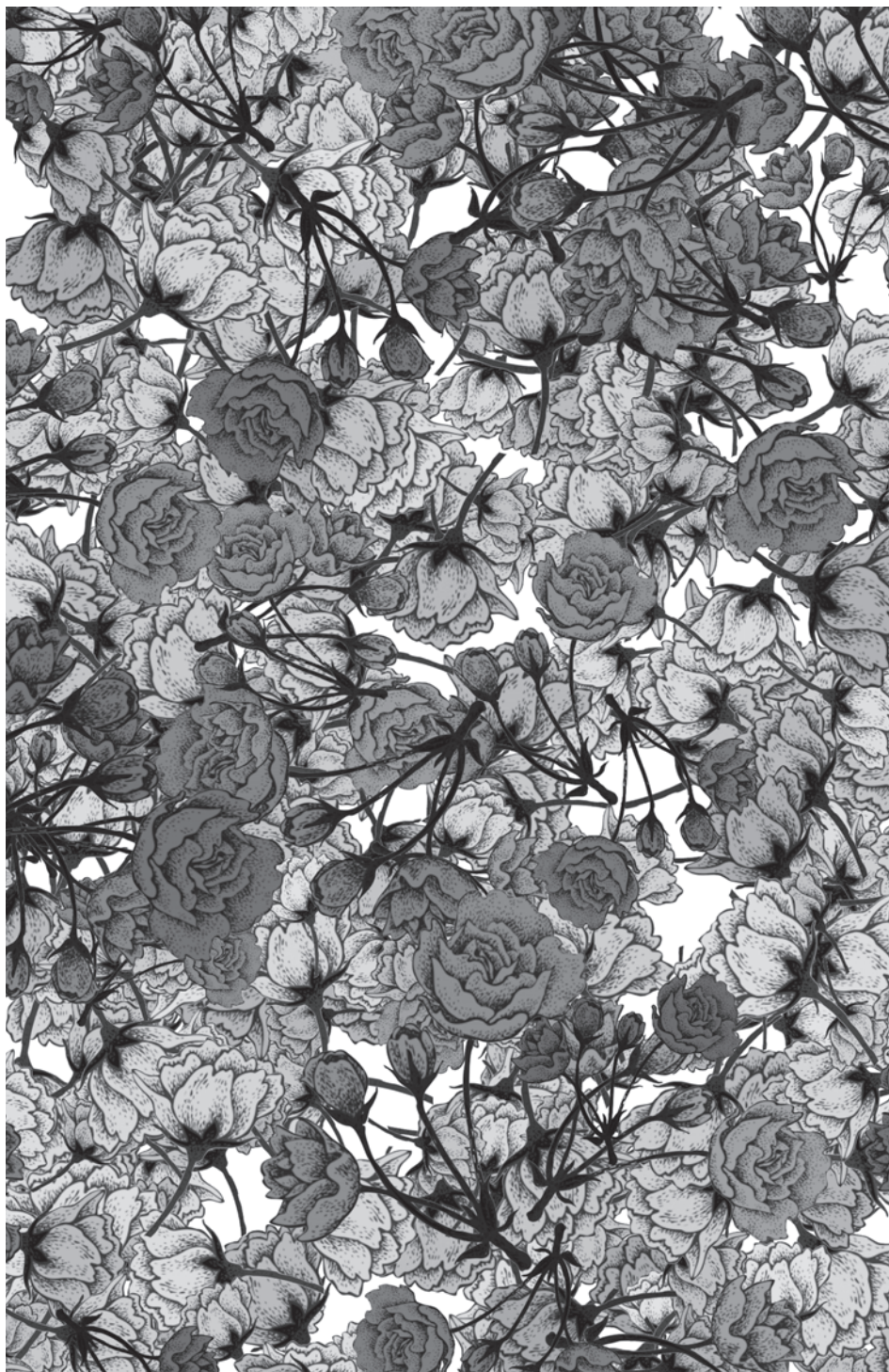
Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



PROLOG



Kup ksi k

Pole ksi k

Brighton, Anglia, Wielka Brytania, rok 1950

Zaciągam się papierosem w oczekiwaniu na ojca. Rozglądam się po okolicy. Gołym okiem widać różnicę między tą częścią miasta a dzielnicą robotniczą. Tutaj jest czysto i schludnie. Trawniki są idealnie przyszyżone, a wokół panuje cisza. Zupełne przeciwieństwo tego, co znajduje się kilkanaście przecznic dalej.

— Przemyśl, proszę, synu, czy aby na pewno chcesz być mundurowym — mówi ojciec, gdy pojawia się u mojego boku.

— Dlaczego? — Gaszę fajkę, po czym ruszamy wzdłuż chodnika.

— Po latach służby Clayton zrobił się strasznie zręczliwy i irytujący. Właśnie chciał mi wlepić mandat! — Oburzony zachowaniem przyjaciela prycha pod nosem. — I nadal jest sam. Z pewnością umrze jako stary kawaler. Żadna kobieta nie wytrzymałaby z nim dłużej niż miesiąc. Silvia jest na to żywym dowodem.

Kręcę rozbawiony głową.

— Bo Clayton jest pracoholikiem. Nie potrafi znaleźć równowagi między służbą w policji a życiem prywatnym.

— Uważasz, że ty znajdziesz, Hermanie? — Patrzy na mnie z politowaniem. — Znam cię dwadzieścia sześć lat. Nawet na przyjęciach rodzinnych sięgałeś po książki.

— Ponieważ się nudziłem.

— Oczywiście... To tutaj.

Zatrzymujemy się przed piętrowym domem z czerwonej cegły. Od ulicy oddziela go ogrodzenie z niewielką bramą.

— Jak bardzo pożałuję tego, że się zgodziłem? — Żartuję, kątem oka zerknąwszy na ojca.

— Nie pożałujesz, obiecuję. Langford ma znajomości w Londynie. To dla ciebie szansa, synu. Nie zmarnuj jej.

Idę za nim, gdy przechodzi przez furtkę. Wspinamy się po betonowych schodach, a kiedy jesteśmy na ich szczycie, ojciec uderza kołatką o drzwi. Słyszę krzątanie po drugiej stronie. Niedługo potem moim oczom ukazuje się rosły mężczyzna.

— Irwin! — Z uśmiechem zamyka mego ojca w objęciach i klepie go po plecach. — Nareszcie do mnie dotarłeś! Ileż można czekać?

— Witaj, Clarence. Dobrze cię widzieć. Zbyt długo już zwlekałem, wiem, ale w natłoku obowiązków człowiek nie ma czasu na rozrywkę — wyjaśnia, po czym przesuwa się w bok i wskazuje na mnie. — To mój syn, Herman. Wydaje mi się, że nie miałeś okazji go poznać.

— W rzeczy samej. Miło mi cię poznać, Hermanie. Wiele o tobie słyszałem. Clarence Langford. — Wyciąga w moją stronę dłoń.

— Cała przyjemność po mojej stronie. — Oddaję uścisk.

Mężczyzna mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, a kącik jego ust się unosi.

— Clar, wpuść gości do środka, zanim się przeziębą. — W korytarzu pojawia się kobieta, mniej więcej w tym samym wieku co Clarence. Biodra ma owinięte fartuchem. Wyciera w niego dłonie i podchodzi. — Helena Langford, żona Clarence'a. — Nim jestem w stanie jakkolwiek zareagować, obejmuje mnie. Następnie wita się z ojcem. Jego już zna.

— Przepraszam, że wyglądam tak niewyjąco, ale niedawno wróciłem ze stadniny. Trochę się tam zasiedziałem — tłumaczy się Clarence.

— Widzę, że twoja miłość do koni nie zmaląła. — Ojciec odwiesza płaszcz, więc idę w jego ślady.

— W rzeczy samej. Do tego zaraziłem tą miłością moją małą Flo, dlatego jeszcze częściej tam jeżdżę — śmieje się.

Drzwi naprzeciwko mnie, które ewidentnie prowadzą do ogrodu, otwierają się i wchodzą przez nie dwie roześmiane kobiety.

— Przecież mówiłam ci, że... — Jedna z nich zatrzymuje się w pół kroku, gdy łapie mój wzrok. Druga natomiast wpada na tę pierwszą i mamrocze coś pod nosem.

— A to moje córki. Janette i Florence. Ty, Irwinie, chyba miałeś już przyjemność je poznać. — Clarence wyciąga rękę w kierunku pierwszej z dziewcząt. Ta chwyta ją bez zawahania i podchodzi.

Jest blondynką. Oczy ma niebieskie, usta pełne, a cerę śniadą. Włożyła błękitną sukienkę za kolano. Jest piękna, bezdyskusyjnie. O urodzie córek Langforda trochę już słyszałem. Teraz rozumiem, co miał na myśli mój przyjaciel Philip, gdy mówił, że z miejsca mógłby paść przed nimi na kolana.

— To Janette, moja starsza córka. Janette, poznaj Hermana Jonesa. Przyszłego mundurowego.

Żrenice blondynki powiększają się przy ostatnim zdaniu. Gdy to zauważam, nie potrafię pohamować lekkiego uśmiechu.

Kobieta zadziera podbródek, wykrzywia wargi w uprzejmym uśmiechu i wysuwa dłoń. Delikatnie całuję jej wierzch.

— Miło mi pana poznać, panie Jones. — Słodki głos dociera do moich uszu, sprawiając, że mocno wciągam powietrze przez nos.

Prostuję się i chrząkam. Clarence wydaje się nie zauważać tego, że mój kontakt wzrokowy z jego córką znacznie się wydłuża.

W końcu Janette przesuwa się w bok, ustępując miejsca młodszej siostrze.

— A to Florence, nasz promyczek. — Langford umieszcza dłoń na jej plecach, niemo zachęcając do tego, aby podeszła bliżej.

Druga córka jest brunetką. Oczy również ma niebieskie, ale bardziej wyblakłe. Nie wygląda na zadowoloną. Mam wrażenie, że wcale nie chciała tu być. Florence ma na sobie spodnie do jazdy konno, białą koszulę i ubłocone oficerki. Wyciera brudne od ziemi ręce w ubranie.

— Florence Langford. — Dyszy ciężko, jakby co najmniej przebiegła maraton.

— Herman Jones.

Kobieta — na moje oko ma nie więcej niż dwadzieścia lat — ścisła moją wyciągniętą dłoń z siłą, o jaką bym jej nie podejrzewał. Potrząsa nią mocno, wymusza uśmiech, po czym się wycofuje i kieruje się do pomieszczenia po prawej.

— O nie, młoda panno, najpierw pójdziesz się przebrać — mówi jej matka.

— Ale...

— Bez dyskusji.

Kilka sekund później obserwuję, jak Florence wspina się na piętro, stawiając przy tym tak ciężkie kroki, że każdy może je usłyszeć.

— Wybaczcie, Flo jest niepokorną duszą — przeprasza Clarence.

— Ma to po tobie — śmieje się mój ojciec.

— Fakt.

Patrzę na Janette, która nawet na chwilę nie spuściła ze mnie wzroku.

— Ja też pójdę się odświeżyć przed kolacją — oznajmia, cały czas spoglądając mi w oczy.

Obserwuję, jak blondynka się odwraca i na palcach wchodzi na piętro.

— Boże, Clar, co z ciebie za człowiek! Zaprosz gości do jadalni, a nie trzymaj ich tak w przejściu! — Helena beszta męża.

Langford przewraca oczami na słowa żony, po czym gestem wskazuje kierunek, w którym mamy się udać. Zajmujemy miejsca przy nakrytym stole.

— A więc dlaczego chciałbyś zostać mundurowym, Hermanie? — zagaduje Clarence, rozsiadając się na swoim krześle.

Odechrzakuję.

— Podczas drugiej wojny światowej walczyłem w Afryce Północnej dla Armii Brytyjskiej. Wtedy zrozumiałem, że chcę służyć dla kraju.

— Wojsko to nie to samo co policja — zauważa.

— Ma pan rację. Mniejszy rozlew krwi, mniej trupów pod nogami i większe prawdopodobieństwo, że na koniec dnia wróci się do domu.

Patrzę na sufit, kiedy do moich uszu dociera trzask z piętra. Clarence śmieje się pod nosem.

— Florence jak zawsze musi dać upust swojej złości.

— Ale ileż można — mamrocze Helena, ustawiając na środku stołu talerz z pieczenią. — Pójdę z nią porozmawiać. — Wyciera dłonie w ręcznik kuchenny, a następnie wychodzi z pokoju.

Patrzę na Langforda.

— Wracając do tematu... — Opiera się łokciami o stół i zaplata ręce pod brodą. — Myślę, że mogę porozmawiać z moim znajomym. Jest komendantem w Londynie i...

— Clarence! — Przerażliwy krzyk Heleny sprawia, że zastygam w bezruchu.

— Przepraszam na moment — mówi skonsternowany gospodarz, wstając.

— Clarence! Pomóżcie mi! — Tym razem Helena wrzeszczy.

Spoglądam na ojca, a on na mnie. W jednej chwili ruszamy na piętro.

Doganiam Langforda. Mężczyzna biegnie wręcz, gdy Helena coraz głośniej woła o pomoc.

— O Boże. — Clarence zatrzymuje się w wejściu do łazienki, przez co na niego wpadam. — Janette! — Upada na kolana obok nieprzytomnej córki. Z jej głowy leje się krew. — Nie oddycha... Ona nie oddycha! Irwin, wezwij pomoc!

Ojciec nie traci ani sekundy. Od razu schodzi na parter.

— Gdzie jest Flo? — Clarence rozgląda się nerwowo na boki, podczas gdy jego żona płacze nad ciałem córki.

— Poszukam jej — mówię, nie potrafiąc wyjść z szoku.

Wychodzę na korytarz, zaglądam do każdego pomieszczenia. Wszędzie jest pusto i szaro. Gdy wchodzę do ostatniego z pokoi, do moich uszu dociera dźwięk lejącej się wody. Przechodzę przez sypialnię do — jak się okazuje — drugiej łazienki.

Zamieram.

Przy zakrwawionej umywalce stoi Florence i myje ręce. Wyczuwa moją obecność. Patrzy na mnie przez ramię, cała we łzach. Kręci głową, nie mówiąc słowa.

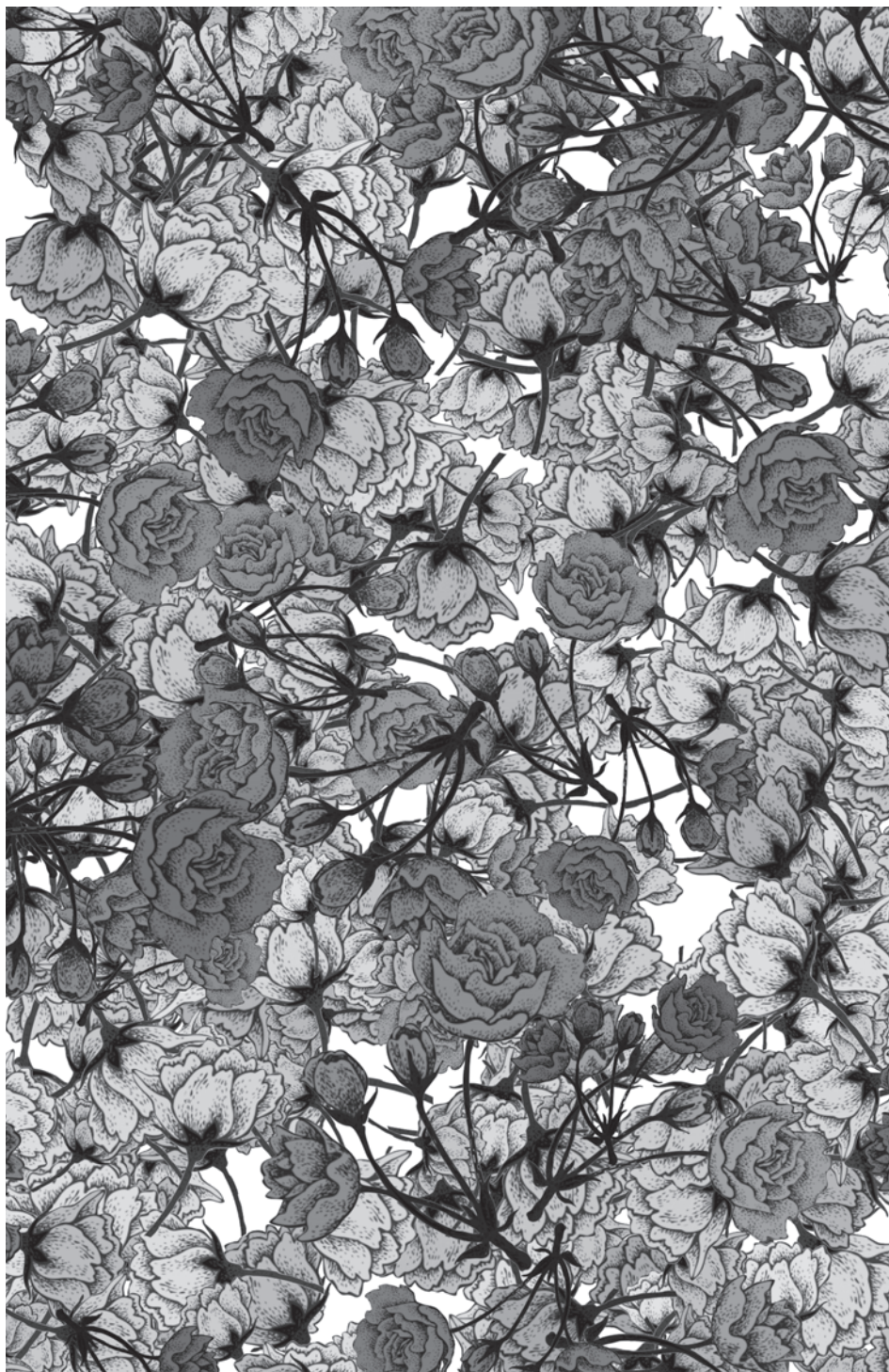
W tamtym momencie jeszcze nie wiedziałem, że będę musiał podjąć najtrudniejszą decyzję w całym swoim życiu. Że to ja będę musiał zdecydować o losie młodej dziewczyny.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że od tej jednej decyzji będzie zależęca cała moja przyszłość.



ROZDZIAŁ

1



Kup ksi k

Pole ksi k

HERMAN

Półwysep Koreański, rok 1953

Nabieram na dłonie lodowatej wody i przemywam nią twarz. Przez dłuższą chwilę stoję przy misce ze spuszczoną głową. Pojedyncze krople spływają mi po szyi, dając uczucie orzeźwienia, którego tak bardzo potrzebowałem.

Wymacuję ręcznik, żeby osuszyć skórę. W końcu unoszę wzrok na lustro. Kilka zadrapań i siniaków. Nie jest źle.

Odwieszam materiał na hak, po czym wychodzę z prowizorycznej łazienki.

— Grasz z nami? — pyta Alex, tasując karty.

— Nie. — Kładę się na łóżku.

Wysuwam spod poduszki paczkę fajek i odpalam jedną.

— Podobno relacje brytyjsko-amerykańskie są coraz bardziej napięte. Nasi chcą, żebyśmy się wycofali, bo boją się eskalacji albo co gorsza, wybuchu wojny nuklearnej — mówi Charles.

— Ja za to słyszałem pogłoski o jakimś rozejmie, ale nie wiem, ile w tym prawdy — wcina się Ryle.

Podnoszę głowę, aby spojrzeć na kolegów z brygady.

— Im szybciej dojdą do porozumienia, tym lepiej. — Zaciągam się papierosem.

— Lepiej dla kogo? Dla ciebie, Jones? — śmieje się Alex. — Jak na moje, ty tu świetnie się bawisz. Jako jedyny jesteś w Korei od początku i nie wydajesz się chętny do powrotu do domu.

Przewracam oczami.

— To nie znaczy, że podoba mu się celowanie do ludzi, idioto — mamrocze Ryle. — Nie słuchaj go, Herman. Hełm tak bardzo uciska mu łeb, że biedakowi mózg przestaje pracować.

Ponownie opadam na materac, wyłączając się z ich głupiej rozmowy.

Wgapiam się w metalowe łączenia piętrowego łóżka. Co jakiś czas wkładam do ust fajkę i wydycham dym z nadzieją, że razem z nim uleci całe napięcie.

Oczywiście tak się nie dzieje.

Nagle drzwi do pomieszczenia się otwierają. Od razu zrywam się na nogi, gdy dostrzegam w nich generała. Gaszę niedopałek na stosie innych i razem z Alexem, Ryle'em oraz Charlesem stajemy na baczność.

Coś jest nie tak. Ten człowiek nigdy tu nie przychodzi.

— Jones. — Jego ostry ton sprawia, że mocniej wypinam pierś. — Chodź ze mną.

Błądzą wzrokiem po twarzach kolegów. Są równie skonsternowani co ja.

Bez słowa mijam ich i idę za generałem, który zdążył już wyjść. Kroczymy pustym korytarzem oświetlonym starymi jarzeniówkami. Za niektórymi drzwiami słyszę śmiechy innych żołnierzy.

Przełożony niespodziewanie skręca w prawo. To mój pierwszy raz w jego gabinecie.

— Usiądź, Jones. — Facet wskazuje na krzesło.

Przez chwilę się waham, ale gdy patrzy na mnie wyczekująco, zajmuję wolne miejsce. Generał Scott przekłada jakieś kartki, jakby czegoś szukał. Ostatecznie bierze do ręki otwartą kopertę, odchrząkuje i poprawia się na fotelu.

— Wezwałem cię tutaj, ponieważ dzisiejszego popołudnia do naszej bazy dotarł list adresowany na twoje nazwisko. Myślę, że powinieneś przeczytać go w odosobnieniu. — Mężczyzna przesuwając papier po blacie. — Chcę, żebyś wiedział, że jeszcze dziś możemy zapewnić ci powrót do domu. Jesteś dobrym i oddanym żołnierzem, ale są rzeczy ważne i ważniejsze. Ta decyzja należy do drugiej kategorii.

Scott zostawia mnie samego w gabinecie.

Nie wiem, ile czasu mija, zanim sięgam po kopertę. Ale kiedy już to robię, od razu wyjmuję złożoną dwa razy kartkę i zaczynam czytać list.

Synu,

przepraszam, że narażam Cię na niepotrzebny stres, którego i tak masz wystarczająco dużo, ale nie mam wyjścia, ponieważ nim wiadomość trafi w Twoje ręce, sprawdzi ją Parker. Już mnie uprzedził.

Chcę, abys wiedział, że czuję się naprawdę dobrze i że sytuacja absolutnie nie należy do tragicznych. Jestem po prostu trochę osłabiony.

Zauważam, że dalej litery są ładniej zapisane. Rozpoznaję w nich pismo starszego brata.

Hermanie, z ojcem jest bardzo źle. Przeszedł zawał. Lekarze mówią, że musimy być przygotowani na najgorsze. Zrobisz to, co uznasz za słuszne.

Parker

Słowa na kartce zaczynają się zlewać, gdy czytam wiadomość któryś raz.

Musimy być przygotowani na najgorsze.

Zaciskam rękę w pięść i gniotę papier. Patrzę na ścianę przede mną.

On umiera.

Ile czasu minęło od wysłania tego listu? Co, jeśli już nie żyje? Co, jeśli nie zdążyłem się z nim pożegnać?

Drzwi gabinetu się otwierają. Generał wraca na swoje miejsce, ale nic nie mówi.

— Muszę wrócić do domu — oznajmiam.

— Pakuj się. Rano oddelegujemy cię do Brighton.

Brighton, Anglia, Wielka Brytania

Poprawiam torbę na ramieniu i zadzieram głowę. Niebo nade mną jest zachmurzone, a lekka mżawka moczy moją twarz. Przysmykam oczy, napawając się panującą wokół ciszą. Żadnych wystrzałów, krzyków czy wybuchów. Tylko szum wiatru i śmiechy dzieci.

— Mam wrażenie, że nie spieszyłeś się zbytnio do domu. — Słyszę za plecami znajomy niski głos.

Obracam się na pięcie.

— Świadomość, że tam jesteś, jakoś nie zachęca — wypalam bez zastanowienia.

Przez kilkanaście sekund patrzymy na siebie w ciszy, a gdy mężczyzna przede mną jako pierwszy kapituluje i wybucha śmiechem, również się nie powstrzymuję.

— Dobrze widzieć cię żywego, Hermanie — mówi mój starszy brat, gdy zamyka mnie w męskim uścisku.

— Dobrze widzieć cię tak samo nadętego, Parker — rzucam zaczepnie.

— Myślałem, że obecność Corina będzie nie do zniesienia, ale chyba zmieniam zdanie. Wymieniliśmy zaledwie kilka zdań, a ty już dorównujesz mu bezczelnością. — Unosi wymownie brew. — Chodź. Zaparkowałem niedaleko stąd.

Ruszamy chodnikiem, co jakiś czas ustępujemy miejsca biegnącym z walizkami ludziom.

— Ojciec nieźle się zdziwi, gdy cię zobaczy. — Brat wysuwa w moją stronę paczkę papierosów.

Patrzę na niego spode łba.

— Od kiedy palisz?

— Nie palę. Ale ty nadal to robisz, prawda?

Fakt, od dziewiętnastego roku życia. Ostatnimi czasy rzadziej, bo miałem do tego ograniczony dostęp.

Częstuję się jedną fajką.

— Nie powiedziałeś mi, że wracam? — Przypominam sobie jego wcześniejsze słowa, kiedy biorę oferowane przez Parkera zapałki.

— Nie. Nie chciałem, żeby niepotrzebnie się martwił. Wolałem mieć pewność, że szczęśliwie dotrzesz do Brighton.

— Rozumiem. — Zaciągam się mocno. — Jak się trzyma?

— Nieciekawie. Jutro ma przyjść doktor.

— Nie myślałeś o tym, żeby zabrać go do szpitala? Byłby pod stałą opieką.

— Dobrze wiesz, że nie ufam takim miejscom. Nikt nie zaopiekuje się naszym staruszkiem lepiej od nas.

Nie zamierzam dłużej z nim dyskutować na ten temat. Gdy Parker coś sobie ubzdura bądź postanowi, ciężko zmienić jego zdanie. Mam tylko nadzieję, że wie, co robi.

— A co u Corina? Z ostatnich listów ojca dowiedziałem się, że balował we Francji. Jakim cudem udało ci się ściągnąć go do domu?

Docieramy do miejsca, w którym zaparkowano kilka samochodów. Brat nakierowuje mnie na czarnego forda.

— Powiedzmy, że przede mną ciężko się ukryć. — Posyła mi niemiły uśmiech znad dachu auta, po czym zajmuje miejsce kierowcy.

Rzucam niedopałek na ziemię i siadam obok niego.

— Musiałeś mu niezłe nagadać.

Parker już za dzieciaka był tym poważnym i zdystansowanym. Gdy my bawiliśmy się w najlepsze i wracaliśmy do domu po kolana ubabrani błotem — on siedział z nosem w książkach, ubrany w swój zielony sweterek. Nie ukrywam — to, że mieliśmy takiego brata, bardzo często przynosiło nam korzyści. Najstarszy Jones niejednokrotnie wyciągał nas z tarapatów, o których ojciec po dziś dzień zapewne nie ma pojęcia.

Droga z lotniska Shoreham na Marine Parade zajmuje nam jakieś trzydzieści minut. W tym czasie nie mówimy za wiele, bo jestem zbyt pochłonięty widokami za oknem. Minęły tylko — albo aż — trzy lata od mojego wyjazdu, i wiele się zmieniło. Niektóre przedsięwzięcia zostały zamknięte, a w ich miejscu pojawiły się nowe. W dodatku miasto wydaje się czystsze niż w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym.

Im dalej jedziemy, tym mniej czuję się jak w domu. Chociaż może to normalne po tak długiej nieobecności? Może potrzebuję kilku dni, żeby się przyzwyczaić? Mam taką nadzieję.

Wysiadam z samochodu, gdy silnik gaśnie. Pierwszym, co rzuca mi się w oczy po zatrzaśnięciu drzwi, jest plaża i kanał La Manche. Wpatruję się w poruszającą się pod wpływem wiatru wodę, a w mojej głowie pojawiają się wspomnienia wszystkich nocy, które tu spędziłem. To był dobry czas.

Zawieszam torbę na ramieniu i dopiero teraz orientuję się, że Parker na mnie patrzy.

Marszczę brwi.

— Co? — pytam skonsternowany jego dziwnym spojrzeniem.

Brat się wzdryga, jakby właśnie wybudził się z jakiegoś transu. Kręci głową, po czym rusza w kierunku szeregowca. Ostatni raz rzucam okiem na kanał i idę za nim.

Okolica, w której dorastałem, niewiele się zmieniła. Niektóre budynki zostały odświeżone i mam tutaj na myśli również dom rodzinny.

Wymieniono okna w wykuszu oraz lukarnie. Czerwona cegła pozostała nietknięta, a wewnątrz ganku przemalowano pod kolor brązowego dachu. Całość, włącznie z ogrodem, wygląda na dopiero co odświeżoną. Jestem pewien, że to zasługa Parkera.

Gdy tylko wchodzę do środka, do moich nozdrzy dociera zapach gulaszu. Pozbywam się ubłoconych butów, rzucam torbę na podłogę, po czym wchodzę do jadalni. Długi stół na wprost przejścia na korytarz został nakryty dla trzech osób. Z prawej stoi oszklona szafa z alkoholami oraz komoda, a zaraz obok nich znajdują się drzwi prowadzące do kuchni.

— Jak się czujesz? — Patrzę na przejście po lewej, przez które chwilę temu przeszedł Parker.

Słyszę jakąś krzątanię, a później chrząknięcie.

— Jak nowo narodzony.

— Czy ty przypadkiem nie spowiadałeś się zeszłej niedzieli? — rechocze Corin. Tak. To na pewno on. — Ściemniasz, staruszk.

— Nie. To wy zachowujecie się jak cholerne baby.

Uśmiecham się na te słowa. Ruszam do salonu.

— Za moich czasów...

— ...mężczyźni nie rozczulali się nad sobą, a ta dzisiejsza młodzież... — Opieram się o framugę. Witam się z młodszym bratem

skinieniem głowy. — Stara śpiewka. Zaskocz nas czymś nowym, Jones, bo wychodzisz z wprawy.

Przyglądam się leżącemu pod kocem mężczyźnie. Niewiele widzę w nim z człowieka, z którym żegnałem się trzy lata temu. Włosów na głowie praktycznie już nie ma, a te pojedyncze zaczesał do tyłu. Twarz, szyję i ręce ma sine i jestem pewien, że stracił co najmniej dziesięć kilogramów. Wygląda marnie. Jakby usychał.

— Co? Nie przywitasz się z synem marnotrawnym? — żartuję.

Ojciec patrzy na mnie wytrzeszczonymi oczami. Podchodzę do niego, siadam na skraju kanapy i witam się z nim uściskiem. Silnym. Mimo ubytku tłuszczu Irwin Jones zachował krzepę, którą zapamiętałem.

— Synu... — Pociąga nosem tuż przy moim uchu.

Staruszek gładzi dłońią moje plecy przez dobrą minutę. Gdy się odsuwam, przejeżdża wzrokiem po mundurze i wraca do twarzy.

Kątem oka widzę, że Parker i Corin wychodzą.

— Czułem, że jeszcze cię zobaczę, Hermanie — mówi łamiącym się głosem.

— Wiesz, w tym momencie nie planuję wybierać się na tamten świat. Ktoś musi pilnować Corina.

— Fakt. Mam wrażenie, że w jego przypadku niańka byłaby strzałem w dziesiątkę. Na razie ma Parkera, ale nawet on załamuje już ręce. — Podłapuje mój dowcip.

Zamykam jego rękę w swojej.

— Jak się czujesz? — pytam.

Relacja między mną a moim ojcem zawsze była specyficzna. Wiele razy mocno mnie zawiódł, ale też sporo mu zawdzięczam. Nie jesteśmy wylewni w uczuciach. To właśnie dlatego nasze spotkanie po latach nie jest nazbyt rozczulające czy emocjonalne. Mimo wszystko dla Irwina Jonesa jestem jedynym synem, któremu powie więcej. Nie mam pojęcia, czym to jest spowodowane, ale to właśnie mnie zawsze powierzał swoje sekrety i to do mnie przychodził w potrzebie.

Staruszek opuszcza głowę na poduszkę. Patrzy chwilę w sufit, a gdy przenosi wzrok na mnie, dostrzegam w nim coś dziwnego.

— Myślę, że niewiele mi zostało — wyznaje szeptem.

Nie odpowiadam. Nie wiem, co tak naprawdę mógłbym powiedzieć, skoro sam tak sądzę.

Ludzie zwykle oszukują siebie, żeby poczuć się lepiej. Ale nie ja. Ja nie widzę sensu we wmawianiu sobie, że będzie dobrze, skoro w tunelu nie dostrzegam nawet małego światełka. Wolę przygotować się na coś, co i tak nadejdzie, niż odwlekać to w nieskończoność, a później jeszcze bardziej przeżywać.

— Każdy z nas kiedyś umrze — mówię po dłuższym namyśle.

Ojciec kiwa nieznacznie głową. Oddycha głęboko, a jego powieki opadają. Siedzę przy nim następne pięć, może dziesięć minut, do momentu, aż zasypia. Gdy zaczyna pochrapywać, idę do jadalni. Parker i Corin siedzą już przy stole.

— W środku jest jakaś trucizna, że wasze talerze są puste? — Zajmuję miejsce, które przed laty należało do mnie.

— Tak, na szczury. Z myślą o tobie — dogryza mi Corin.

Biorę łyżkę wazową i nakładam sobie porcję gulaszu.

— Sukinsyn z ciebie.

— Trudno się nie zgodzić — mamrocze Parker, gdy wypełniamy swoje talerze.

— Na jak długo planujecie tu zostać? — zagaduję.

— To zależy, kiedy staruszek kopnie w kalendarz.

— Corin!

— Boże, Parker. — Młody przewraca oczami. — Ślepy by zauważył, że ojciec ledwo dycha. Trzeba to zaakceptować, taka jest kolej życia, a poza tym... On już swoje przeżył.

Najstarszy z braci Jonesów unosi brwi na te słowa, ale ich nie komentuje. Nie robi tego, bo najpewniej też tak myśli, ale ma swoje zasady. Bo chociaż jesteśmy rodzeństwem, bardzo się od siebie różnimy.

Parker od zawsze był człowiekiem zamkniętym w sobie. Ciężko wyczytać z niego cokolwiek. Nawet w najbardziej ekstremalnych warunkach potrafi zachować pokerową twarz. W szkole budził postrach wśród rówieśników, za to dziewczyny masowo pisały do niego listy miłosne. Kochały jego tajemniczość i zaborczość.

Corin natomiast jest jego zupełnym przeciwieństwem. Wszędzie go pełno, ciągle gada i nie przebiera w słowach. Niejednokrotnie

wracał z dłońmi czerwonymi od linijki. Nauczyciele wypuszczali go ze szkoły z uśmiechem na twarzach. Nauka nigdy nie należała do jego priorytetów, ale nie można zarzucić mu braku zaradności. Ma dwadzieścia cztery lata i świetnie sobie radzi. Tak samo trzydziestoletni Parker, ale w jego przypadku — nie wiem, co robi. Nie rozmawiamy o tym.

— To jak, młody? Wyrwałeś jakąś Francuzkę?

— A żeby to jedną! — Pluje jedzeniem na stół.

— Ale z ciebie świnia. — Parker się krzywi.

Corin przewraca oczami i przełyka to, co ma w ustach.

— Powinieneś się tam ze mną wybrać. Te kobiety to inny wymiar! Chociaż nie. Włoszki... One mają w sobie coś takiego, że w kilka sekund potrafią okręcić cię sobie wokół palca.

— To nie ich narodowość sprawiła, że cię zdominowały, ale fakt, że zobaczyły w tobie to, co my.

— Niby co?

— Naiwnego debila. — Parker wzrusza ramionami, jak gdyby mówił właśnie coś, o czym każdy już wie.

— Całe szczęście, że z tobą nie miały do czynienia — śmieje się Corin zupełnie niezrażony. — Wykończyłyby się psychicznie i osiwiłyby jeszcze przed trzydziestką. Sam siebie ledwie znosisz, a gdzie tu gorące Włoszki.

Tłumię rozbawienie kaszlnięciem.

Resztę obiadu spędzam na słuchaniu słownych przepychanek Parkera i Corina. Cieszę się, że nie ruszyli tematu Korei.

Po sprząnięciu ze stołu idę do pokoju, który kiedyś należał do mnie — i na szczęście nic się w tej kwestii nie zmieniło. Nawet ustawienie mebli.

Na wprost drzwi znajduje się komoda, obok jest mały kominek, naprzeciwko kominka znajduje się duży regał z książkami, a przy ścianie po lewej stoi łóżko. Po prawej natomiast mam okno z widokiem na kanał. Za dzieciaka często siedziałem na parapecie we wnęce i czytałem.

Odstawiam torbę obok łóżka. Podchodzę do gzymsu kominka, na którym stoją oprawione w ramki zdjęcia. Wszystkie są z czasów

mojej młodości. Jedno przedstawia mnie i braci, inne mnie z ojcem, a to najbardziej z tyłu — moją matkę. Zawsze byłem zmuszony słuchać o tym, jak bardzo jestem do niej podobny. Czarne włosy, prosty nos i wąskie usta. Jako jedyny z synów odziedziczyłem po niej bursztynowe oczy.

Zamykam się w łazience z zamiarem wzięcia kąpieli. Nie zajmuje mi to wiele czasu, bo nigdy nie lubiłem leżeć w wannie. Obmywam spięte mięśnie, następnie suszę ciało, a mundur wrzucam do kosza. Z owiniętym wokół bioder ręcznikiem wracam do swojego pokoju, pozbywam się materiału, składam go w kostkę i wsuwam się pod kołdrę.

W tym samym momencie do moich uszu dociera głos z korytarza.

— Herman?

Drzwi sypialni się otwierają, zanim jestem w stanie odpowiedzieć.

— Tak, Corin. Możesz wejść — sarkam.

— Nie dramatyzuj, księżniczko — mówi rozbawiony.

Brat wskakuje na miejsce obok mnie i zakłada ręce za głowę. Przez chwilę rozgląda się po pomieszczeniu, a gdy wraca wzrokiem na mnie, unosi brew.

— Tylko nie mów mi, że koledzy w wojsku też musieli patrzeć na twojego pindola.

— Codziennie przed snem. Też chcesz spojrzeć?

— O niczym innym nie marzę — śmieje się.

Moje relacje z młodszym bratem zawsze były lekkie i nieskomplikowane. Rzadko się kłóciliśmy. Co prawda dzieli nas pięć lat, ale niejednokrotnie to właśnie ja namawiałem go do robienia różnych głupot. To przy mnie zapalił pierwszego w życiu papierosa, ja dałem mu spróbować alkoholu i ja wyciągałem go z pierdla, gdy zrobił burdę na mieście.

— Jak myślisz, ile mu zostało? — pyta nagle, poważniejąc.

— Nie widziałem go trzy lata, więc dla mnie zmienił się tak czy inaczej. Nie wiem, czy to kwestia wieku, czy właśnie choroby, ale moim zdaniem nie wygląda najlepiej.

— Co będzie dalej?

— W sensie? — Marszczę brwi.

— No, gdy umrze.

Cóż, nie zastanawiałem się nad tym.

— Pewnie każdy z nas wróci do swojego życia.

— Wrócisz do wojska? — Jego cichy głos sprawia, że przez moje plecy przechodzi zimny dreszcz.

Coś się w nim zmieniło. Nie tylko w wyglądzie. Nadal mówi głupoty — tak, to prawda — jednak nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy w ten sposób.

— Nie. Nie wiem. Może. — Wzruszam ramionami.

Corin kiwa głową, wzdycha i wstaje. Podchodzi do drzwi, a gdy je otwiera, patrzy jeszcze na mnie przez ramię.

— Nie wyjeżdżaj już więcej, Herman.

I wychodzi.

Wpatruję się w miejsce, w którym stał chwilę wcześniej. Jego słowa, które brzmiały jak prośba, echem odbijają się w mojej głowie.

Nie wyjeżdżaj.

Oczywiście mógłbym to zrobić. Mógłbym zostać w Brighton, założyć rodzinę i ułożyć sobie życie. Ale...

Przekręcam się na bok. Zamykam oczy i zmuszam się do snu.

Oczywiście, że mogłem zostać w Brighton, założyć rodzinę i ułożyć sobie życie. Ale przeszłość potrafiła mnie dogonić nawet na drugim końcu świata. Każdego wieczoru nawiedzała mój umysł, męczyła sumienie i odbierała wolę życia. Jak miałem chodzić tymi ulicami ze świadomością, że w każdej chwili z ową przeszłością mogę stanąć twarzą w twarz?

Kiedys dużo o tym myślałem.

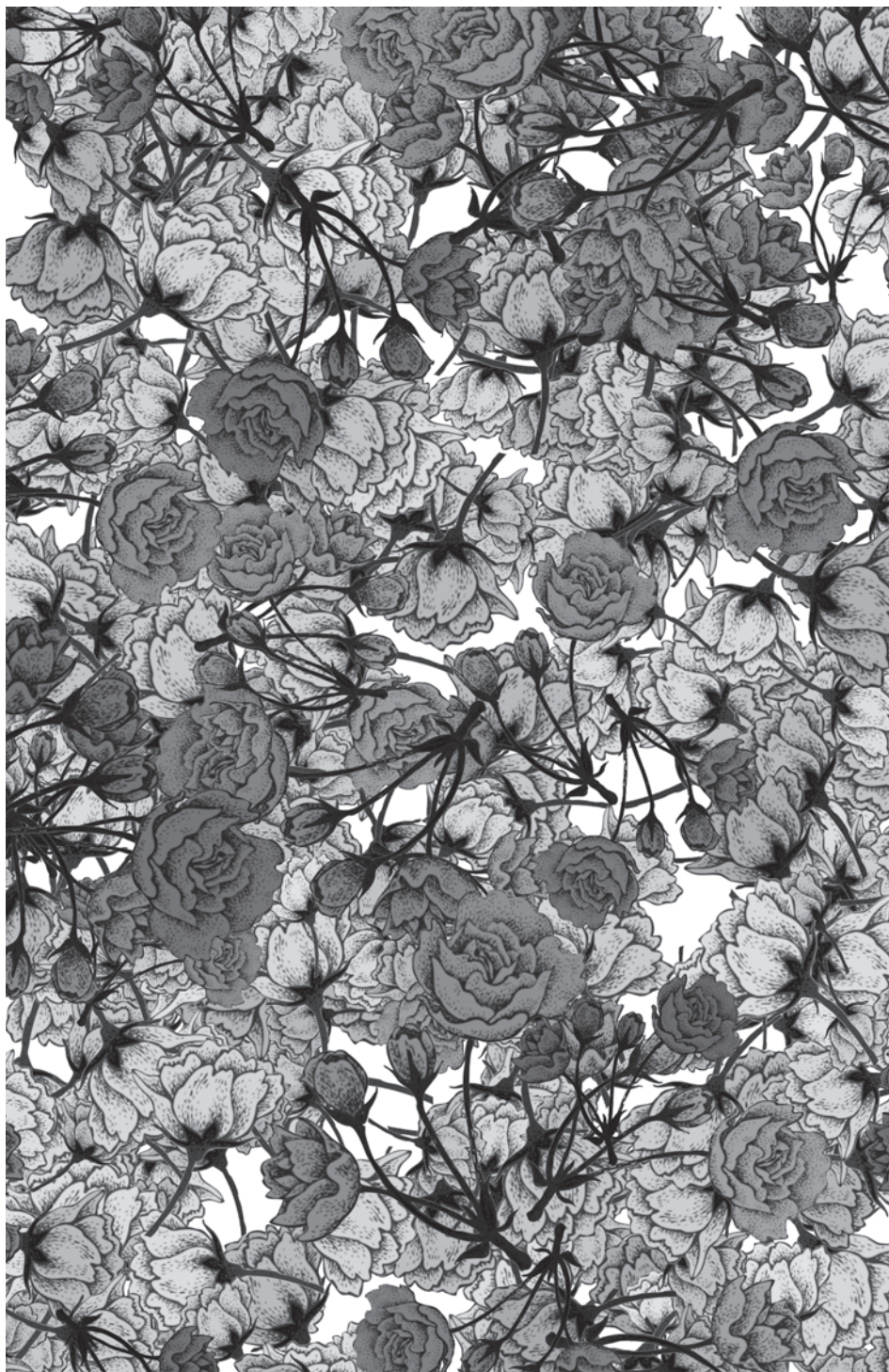
Kiedys.

Teraz to już nieważne.



ROZDZIAŁ

2



Kup ksi k

Pole ksi k

HERMAN

Wypijam duszkiem połowę zawartości kufła. Odstawiam szkło na blat i rozglądam się dookoła. Jak na południe — w barze jest naprawdę sporo ludzi. Gdzieniedzie siedzą zalani już starsi panowie, gdzieś dalej mężczyzna w kapeluszu, a miejsca po mojej lewej zajmuje wpatrzona w siebie para. Noga blondynki sunie wzdłuż łydki kochanka, a ten wierci się na stołku rozproszony.

— A niech mnie!

Patrzę w stronę drzwi, w których stoi jakiś mężczyzna i się na mnie gapi.

Mrużę oczy, bo przez światło wpadające z zewnątrz nie jestem w stanie stwierdzić, czy go znam i czy mówił to do mnie. Gdy jednak się zbliża, a ja w końcu widzę jego twarz, wszystko staje się jasne.

— Philip! — Zamykam go w męskim uścisku.

— Spotkałem Corina. Powiedział mi, że wróciłeś i że tu jesteś. Bracie, ile można czekać? — Kładzie ręce na moich ramionach, aby lepiej mi się przyjrzeć. Robię to samo.

Krótkie blond włosy zaczesane do tyłu, niebieskie oczy i zdecydowanie bardziej rozbudowana muskulatura. Niby niewiele się zmienił, ale widać różnicę.

— Myślałem, że przepadłeś nam w tej Korei.

Wracam na swoje miejsce, a on siada obok.

— Co u ciebie? — Ignoruję jego słowa. — Byłem pewien, że wyjechałeś do Londynu.

Ja i Philip Jackson przyjaźnimy się od dzieciaka. Chociaż pod względem charakteru jesteśmy sprzecznościami — z nikim nie miałem nigdy takiej więzi jak właśnie z nim. Stworzyliśmy wiele dobrych

wspomnień, no i zawsze mogliśmy na siebie liczyć. Nasz kontakt ograniczył się rok po tym, jak wyjechałem na wojnę.

— Taki miałem plan, ale... Coś mnie zatrzymało. — Uśmiecha się tajemniczo, po czym przywołuje ręką barmana i zamawia dwa piwa.

— Miłość.

Nie zmienił się na tyle, w ciągu tych kilku lat, abym nie mógł go teraz rozczytać. Nie ma takiej opcji.

— Aż tak to widać? — pyta rozbawiony.

— Ja po prostu znam to spojrzenie.

Facet za barem podsuwa nam pod nos dwa kufle, które od razu bierzemy do rąk.

— No. — Wierzchem dłoni wycieram usta z piany. — To kim jest ta biedna kobieta? Znam ją?

Phil przeczesuje ręką włosy.

— Tak jakby. Ale opowiem ci o tym, gdy sam będę wiedział, czy to wypali.

— W porządku. W takim razie opowiadaj, co przegapiłem.

Przyjaciel poprawia się na stołku i chrząka.

— A więc: Norton hajtnął się z Barbarą i spodziewają się dziecka. Joe wyjechał na zachód, a Lily... Och, Lily.

— To w niej się zakochałeś? — śmieje się.

— Nie. Ale Boże, Herman, jak ona wyładniała. Kompletnie nie przypomina tej cichej łamagi, którą była. Ta zmiana przyszła nagle. Gdy któregoś dnia minęła mnie na ulicy, obejrzałem się dwa razy, żeby się upewnić, czy to na pewno ona.

— Moim zdaniem Lily zawsze była ładna.

— Tylko ty tak uważałeś, bo tylko tobie jakimś cudem się podobała.

To prawda. Za czasów szkolnych wzdychałem do Lily Shaw. Nie do końca potrafię powiedzieć, co takiego w sobie miała, ale sprawiła, że się zauroczyłem. I to dość poważnie. Byłem w nią tak zapatrzony, że każdego dnia podrzucałem jej lilie. A gdy odkryła, że to ja jestem jej cichym wielbicielem — wściekła się. Nigdy za mną nie przepadała, co teraz kompletnie mnie nie dziwi. Nie należałem do najmądrzejszych typów.

— Urzekł mnie jej charakter — mówię w końcu.

— Ta, chyba raczej fakt, że jako jedna z nielicznych nie zwracała na ciebie uwagi. I że jest siostrą Nortona. Zawsze lubiłeś sięgać po to, co zakazane.

— Fakt. — Uśmiecham się kpiąco.

— A ty? Wróciłeś już na stałe czy tylko ze względu na ojca? Słyszałem, że nie jest z nim najlepiej.

— Nie wiem. Zdecyduję, gdy będziemy wiedzieli, na czym stoimy. — Zeruję kufel.

Nagle drzwi baru otwierają się z hukiem.

— Odpowiedź brzmi: nie! — Ostry dziewczęcy głos dociera do moich uszu.

— Nie bądź taka. To tylko...

— Przysięgam, że jeśli jeszcze raz mnie tkniesz, utnę ci rękę i wsadzę ją do gardła.

Przez chwilę mierzę się z przyjacielem spojrzeniami. Gdy wychylam się ze swojego miejsca, zauważam, że w wejściu do baru stoi niewysoka kobieta. Ubrana w koszulkę z krótkim rękawem i spodnie, stuka czubkiem buta o posadzkę. Ręce ma założone na biodrach, co tylko podkreśla to, że jest zła.

— Nie rozumiem, co ci szkodzi. Gdy cię tu nie ma, i tak mnie wpuszczają. — Wzrusza ramionami nieznajomy.

— Ale teraz jestem ja i cię nie wpuszczę. Wynocha. — Wskazuje w kierunku ulicy.

— Nie.

— Użyję siły.

— Jesteś seksowna, gdy używasz siły.

Chcę zareagować, kiedy mężczyzna się do niej zbliża, jednak zostają zatrzymani przez Philipa.

— Spokojnie. Kto jak kto, ale akurat ona nie potrzebuje niczyjej pomocy — mówi rozbawiony.

Opieram się łokciem o blat, z zaciekawieniem nasłuchując tej wymiany zdań.

— A lubisz żyć bez jedynej rzeczy, która nadaje ci męskość?

— Czy to groźba?

— Interpretuj to, jak chcesz, Finn. Ale zapamiętaj sobie jedno: na mojej warcie nie stanie tu więcej noga żadnego oblecha — cedzi przez zęby. — Jesteś pierwszy na liście. Więc lepiej wynoś się stąd, zanim znowu skopię ci dupę. — Kobieta podchodzi do drzwi i je otwiera. — No już, wynocha.

— Mam gdzieś twoje pogrożki — prycha Finn.

Przez chwilę chyba walczą na spojrzania.

— Sam tego chciałeś.

A później wszystko dzieje się szybko. Brunetka kopie go w łydkę, uderza z pięści w brzuch i korzystając z chwili jego nieuwagi, wypycha mężczyznę z baru. Dopiero gdy to robi, orientuję się, że w lokalu zapanowała grobowa cisza.

Matko. To było mocne.

— Z Florence lepiej nie zadzierać. Potrafi dokopać. Coś o tym wiem — mamrocze Philip.

Zastygam w bezruchu.

— Florence?

— No. — Kiwa energicznie głową. — Pamiętasz Florence Langford, prawda? Cholera, na pewno pamiętasz. Przecież byłeś u nich w domu, gdy wydarzyła się ta tragedia z jej siostrą — mówi cicho.

Wracam wzrokiem do miejsca, w którym chwilę wcześniej stała Florence, jednak już jej tam nie ma.

— Po śmierci Janette dużo się zmieniło. Nie wiem, czy to prawda, ale podobno żona Clarence'a dostała na głowę, a sam Clarence wyjechał z miasta.

— Wyjechał? — Zaciskam szczęki.

— Po pogrzebie. Jedni mówią, że się załamał. Inni, że miał kochankę i tylko szukał wymówki, żeby zostawić rodzinę.

— Kochankę?

— No, ale to tylko takie plotki. Prawda może być zupełnie inna, jednak jej raczej nigdy nie poznamy. Florence nikogo do siebie nie dopuszcza.

Patrzę tępo na przyjaciela, nie potrafiąc nic powiedzieć.

Ona tu jest. W tym samym budynku co ja. Tajemnica, która zniszczyła całe moje życie.

Zerkam na zawieszony nad barem zegar.

— Cholera, muszę się zbierać — kłamię. — Może przyjdiesz do nas jutro na kolację i na spokojnie porozmawiamy? — Z całych sił staram się zapanować nad chaosem, który nagle zapanował w mojej głowie.

Wyjmuję z kieszeni parę banknotów i zostawiam je na blacie.

— Dobry pomysł. Dziewiąta?

Wychodzimy z lokalu. Biorę głęboki oddech, po czym patrzę na Phila.

— Tak. Jeśli chcesz, możesz zabrać ze sobą swoją dziewczynę. — Szturчам go w ramię, na co ten przewraca oczami, ale się śmieje.

— Przemyszę to. — Klepie mnie po plecach. — W takim razie do jutra.

— Do jutra.

Rozdzielamy się i ruszamy w przeciwnych kierunkach. Zanim znikam za zakrętem, rzucam okiem na The Wave. Jak bardzo pechowym człowiekiem trzeba być, aby już dzień po powrocie spotkać kogoś, kogo za wszelką cenę chciało się unikać? Los ewidentnie ze mną igrza. Zrobił to trzy lata temu i robi to teraz.

Do domu wracam najkrótszą trasą, żeby jak najmniej myśleć. Muszę oczyścić głowę.

— Jedyne, co w tym momencie możemy zrobić, to obserwować — mówi do Parkera mężczyzna stojący w korytarzu naszego domu.

— Rozumiem. W takim razie dziękuję, doktorze. — Brat ścisła jego dłoń. — O, cześć, Hermanie. Doktora Browna chyba już znasz.

— Tak. Nie wiedziałem, że to pan zajmuje się ojcem. — Witam się z nim.

— Brighton to duże miasto, ale lekarzy jak nie było, tak nie ma. — Posyła mi uprzejmy uśmiech i zakłada kapelusz. — Jeśli zauważycie, że stan ojca się pogarsza, zadzwońcie do mnie. Przyjadę nawet w nocy.

— Dziękujemy.

Przepuszczam Browna w drzwiach, a gdy je zamykam, pozbywam się butów. Parker siada przy jadalnianym stole i otwiera notes. Chwilę później do pomieszczenia wchodzi Corin.

— Robisz listę pańienek, które udało ci się zaliczyć? — Młodszy brat zachodzi Parkera od tyłu i zakrywa ręką usta. — O nie, kartka jest pusta. Biedaczek. To by wyjaśniało, dlaczego chodzisz taki spięty.

— Wiesz, żałuję, że jednak nie podrzuciliśmy cię do sierocińca. Corin unosi brwi.

— Ja i Herman. Mieliśmy taki plan, gdy się urodziłeś. Byłeś irytującym gnojkiem i ciągle puszczałeś gazy — mówi Parker, pisząc coś w notesie.

— Co zatem was powstrzymało? — Patrzy na nas obu z wyraźnie udawaną urazą.

— Kiedy cię podnosiliśmy, zwymiotowałeś Hermanowi na twarz. Później zacząłeś wyc, jak zwykle. Po dłuższym namyśle stwierdziliśmy, że sierociniec byłby dla ciebie wybawieniem, a my chcieliśmy trochę cię pomęczyć za te wszystkie nieprzespane noce.

— To by wyjaśniało tę zdechłą mysz w moim bucie — mamrocze bardziej do siebie. — W takim razie wychodzę. Do miejsca, w którym jestem lubiany.

Corin wymija mnie i idzie na korytarz.

— Z tego, co wiem, widzenia w zakładzie psychiatrycznym są do trzeciej. — Parker spogląda na zegar, a następnie na brata. — Może zdążysz.

— Może zdążysz — przedrzeźnia go. — I jak tu człowiek ma się dziwić, że twoja lista jest pusta.

Niedługo potem drzwi frontowe zamykają się z łoskotem.

— Mogliśmy go tam podrzucić.

— Zdecydowanie.

Parker znów skupia się na swoim dzienniku.

— Gdzie ojciec? — pytam skonsternowany, gdy zaglądam do pustego salonu.

— W swoim pokoju. Przenieśliśmy go tam rano. Upierał się, że woli być tutaj, ale cholera, ta kanapa jest niewygodna.

— Masz rację. Dobrze zrobiliście.

Wspinam się na piętro i idę korytarzem do samego końca. Wchodzę do ostatniej sypialni po prawej. Irwin Jones leży okryty kołdrą po samą szyję i czyta jakąś książkę.

— Niecodzienny widok — śmieję się pod nosem.

— A co innego mam robić? Prędeż umrę tu z nudów niż przez chorobę.

Przechodzę całą długość pomieszczenia i siadam na skraju ogromnego dwuosobowego łóżka.

— Jak się czujesz, tato?

— Przysięgam, że jeśli jeszcze raz usłyszę to pytanie, zwariuję.

— Dobra już, dobra. — Unoszę ręce w obronnym geście.

— Lepiej ty mi powiedz, jak się czujesz. Nie ukrywam, wczoraj nie miałem siły na rozmowę. — Ojciec odkłada książkę i okulary na stolik nocny.

— W porządku. — Wzruszam ramionami.

— Synu... — Posyła mi pełne politowania spojrzenie. — Ja też byłem na wojnie.

— A teraz jesteś tutaj.

— Ty również. Śmiejesz się z braćmi i zachowujesz się tak, jakbyś wcale nie strzelał do ludzi. Nie dopuszczasz jeszcze do siebie rzeczy, które wydarzyły się w Korei. Ale one wrócą. Zawsze wracają. Prędeż czy później.

Odchylam głowę do tyłu.

— Skoro już wiesz, co mnie czeka... Czy kiedykolwiek będę w stanie wybaczyć sobie świństwa, które zrobiłem? — pytam, wgapiając się w kołyszące się za oknem drzewo.

— Czasami musimy robić złe rzeczy, żeby przetrwać. Ale czy to oznacza, że jesteśmy złymi ludźmi? Nie sędzę. Gdybyś ty nie pociągnął za spust, zrobiłby to żołnierz, który do ciebie celował. Skorzystałby, bo ty się zawahałeś, myśląc o moralności.

Przymykam powieki i biorę głęboki oddech. Spodziewałem się takiej odpowiedzi. Każdy mi powtarza, że właśnie tym jest wojna, że są na niej straty w ludziach. Nie rozumiem tego. Moim zdaniem są dziesiątki innych sposobów na rozwiązanie konfliktu. Przemoc jest ostatnia na liście.

— Chciałbym coś wiedzieć — odzywa się po dłuższej chwili ciszy.

— No?

Spuszczam wzrok na ojca, który przygląda mi się uważnie.

— Dlaczego nie wróciłeś dwa lata temu, gdy miałeś taką możliwość?

W pomieszczeniu zapada milczenie. W jednej sekundzie powietrze gęstnieje do tego stopnia, że muszę odpiąć górny guzik swojej koszuli.

— Czasami musimy robić złe rzeczy, żeby przetrwać, prawda? — powtarzam po nim.

W mojej głowie pojawia się obraz dziewczyny, która szoruje swoje zakrwawione dłonie. Jej łez i przerażenia w oczach. Niewinności na twarzy, ale zbrodni na rękach.

— Odpoczywaj. Zajrzę do ciebie wieczorem.

Nie patrząc więcej na ojca, wychodzę z jego sypialni i zamykam się w swojej. Siadam na podłodze, a łokcie opieram o kolana. Wpatruję się w ramę dębowego łóżka. Myślę o wszystkim, co wydarzyło się od tamtego dnia. O podjętej decyzji o milczeniu. O wyrzutach sumienia, których nie udało mi się zagłuszyć.

Myślę o *niej*.

Schodzę na parter kilka godzin później, gdy na zewnątrz zapada zmrok. Corina nie ma jeszcze w domu, za to Parker gotuje coś w kuchni.

— Na stole leży list zaadresowany do ciebie. Nie wołałem cię, gdy przyszedł, bo myślałem, że śpisz.

Biorę do ręki kopertę, na której faktycznie widnieje moje imię i nazwisko, tyle że bez adresu. Rozrywam ją, po czym wysuwam kartkę i czytam zapisane na niej jedno zdanie.

Czy twoja rodzina wie, że chronisz morderczynię?

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 



*Czasami musimy robić złe rzeczy, aby przetrwać.
Ale czy to oznacza, że jesteśmy złymi ludźmi?*

Brighton, Wielka Brytania, rok 1950

Młody weteran wojenny Herman Jones postanawia kontynuować służbę dla kraju i decyduje się wstąpić do brytyjskiej policji. W stawianiu pierwszych kroków na nowej ścieżce zawodowej może mu pomóc wpływowy znajomy ojca, Clarence Langford. Biznesmen zaprasza obu Jonesów na kolację do swojego domu, by pomówić o jego ewentualnym wsparciu. Tam Herman poznaje córki Clarence'a, Janette i Florence.

Rozmowy układają się po myśli przyszłego stróża prawa. Wieczór zapowiada się przyjemnie. Wszystko się jednak zmienia, gdy do uszu mężczyzn dobiega krzyk żony gospodarza.

*W tamtym momencie jeszcze nie wiedziałem, że będę musiał podjąć
najtrudniejszą decyzję w całym swoim życiu. Że to ja będę musiał zadecydować
o losie młodej dziewczyny.*

*Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że od tej jednej decyzji
zależy cała moja przyszłość.*



beyA 16+
beyA.pl

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-8322-307-0



cenę: 49,90 zł